LUTY

Miasto z marzeń i krwi

 W drodze z Cmentarza Tichwińskiego

Minnie i Miechen wracały karetą carycy-wdowy z wytworne go pogrzebu, na którym tak naprawdę żadna z nich nie chciała się pojawić, ale obydwie zostały do tego zmuszone. A wiado- mo było powszechnie, że ani jedna, ani druga łatwo nie ulegały naciskom. Obydwie milczały i tylko od czasu do czasu wymieniały porozumiewawcze spojrzenia. Pod wieloma względami nie było w Petersburgu bardziej różniących się od siebie istot, ale teraz obydwu damom kłębiły się w głowach te same, nie zbyt optymistyczne myśli. Sankt Petersburg, czyli Święty Petersburg. Duma Imperium, klejnot w koronie Romanowów. Miasto, które ze świętością miało tyle wspólnego, co nierządnica przed nawróceniem i faryzeusz w zenicie swej popularności. Dumny, wyniosły ko los z granitu i marmuru, w istocie kruchy jak lody Newy na przedwiośniu. Wzniesiony na bagnach utwardzonych ludzkimi kośćmi i scementowany cierpieniem poddanych był jak olśniewająca maskarada – piękny obrazek, pod którym kryły się błoto i krew. Piotr Wielki kazał wznieść miasto na mokradłach, gdzie woda sączyła się spod każdego kamienia. Błotnista ziemia pożerała ciała tych, którzy padali z wyczerpania, wznosząc carskie marzenie, i szeptali słowa klątwy w chwili śmierci. Nie bali się piekła, bo nic gorszego niż praca przy budowie miasta, które dostało nazwę na pamiątkę świętego Piotra, spotkać ich nie mogło. Petersburg był wielkim teatrem. Olbrzymią sceną, na której dla reszty świata Rosja odgrywała swoją maskaradę. Sceną stojącą na bagnach, wybudowaną przez tysiące zapomnianych robotników, których kości zniekształcił nadludzki trud. A szeptano, że potem zostały zmiażdżone, by utwardzić nimi bulwary. Przy ulicach zaś, które kryły prochy zamęczonych, pyszniły się pałace w barwach południa: czerwone jak krew, żółte jak zdobyczne złoto carów, w kolorach sjeny i ochry jak letnie wille na Rivierze, gdzie tutejsi arystokraci szukali słońca podczas petersburskich zim. Na północnym wschodzie rozpo ścierało się jezioro Ładoga, ogromne i nieme, a na zachodzie – Zatoka Fińska, gdzie wiatr gwizdał pomiędzy masztami wspaniałych okrętów. Pomiędzy nimi zaś płynęła Newa – szeroka, dumna, niosąca w swych nurtach zapach tajgi i bagien, z których się zrodziła. Nazywali go Wenecją Północy, ale to była tylko kolejna iluzja. Petersburg nie miał w sobie ciepła Włoch – miał ich archi tekturę, ich kolory, detale zapożyczone od śródziemnomorskich budynków, ale wszystko było tu zimniejsze, twardsze, jakby mróz wżarł się w granit i marmur. Włoscy architekci – Bartolomeo Rastrelli, Carlo Rossi, Giacomo Quarenghi – nadali miastu wrażenie południowego przepychu, ale surowa północ nie dała się oszukać.  Miasto zostało nazwane na cześć świętego Piotra, a nie na cześć cara, choć właśnie Piotr I założył to miasto. W Petersburgu wszystko było grą pozorów. Arystokraci mówili po francusku, a od nastania młodej carycy także po angielsku, jednak ich służba szeptała po rosyjsku zarówno modlitwy, jak i przekleństwa. W pałacach ogrzewanych jak szklarnie, pełnych zresztą cieplarnianych roślin, do których upodabniali się ich mieszkańcy, urządzano bale, a ich przepychu nie dało się z niczym porównać, bo tylko w Petersburgu możliwy był taki rozmach. W tym samym czasie w robotniczych dziel nicach głodne dzieci kostniały z zimna, a czasami nawet zamarzały w ciasnych izbach. Car całował ikony, caryca słynęła z neofickiej pobożności i idącej za nią filantropii, a jednocześnie policja wsadzała do więzień tych, którzy śmieli pytać, dla czego głód zbiera żniwo i czemu każdej zimy ich dzieci muszą umierać. Najgorsze było jednak to, że do władzy coraz częściej dorywali się parweniusze. Moralni i umysłowi. I ktoś jeszcze groźniejszy, a mianowicie ludzie bez skrupułów. Z pogrzebu takiego właśnie indywiduum wracały caryca-wdowa i jej szwagierka. Człowiek ów miał na sumieniu śmierć młodej kobiety, Iriny Duminy, próbę zamordowania swojej żony, księżniczki Joanny Ochrydzkiej, i nie wiadomo co jeszcze! Tymczasem niegodziwiec umiejętnie wkradł się w łaski cara i carycy, dosłownie owijając ich sobie wokół palca. Mikołaj urządził mu pogrzeb zgodnie z ceremoniałem państwowym i odznaczył go po śmierci, nazywając w pożegnalnej mowie przyjacielem rodziny. Ani caryca-wdowa, ani jej szwa gierka, wielka księżna Włodzimierzowa, nie miały ochoty brać udziału w tej farsie, gdyby jednak odmówiły, naraziłoby to na szwank ich i tak bardzo już napięte stosunki z carycą Aleksandrą, cokolwiek by mówić, najważniejszą kobietą w Rosji…